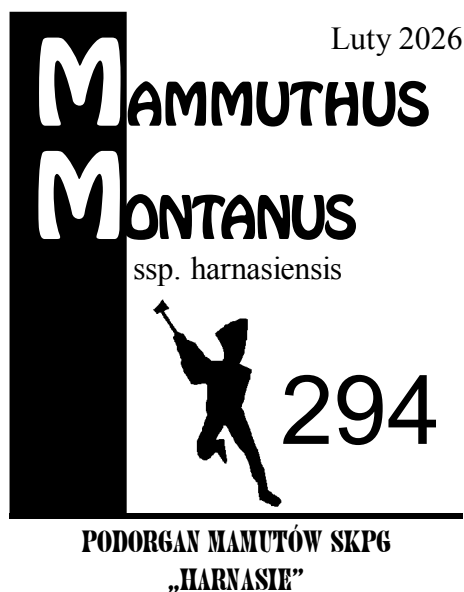




Luty 2026

NEPOMUKI NA LODOWYM SZLAKU

W piątek 16 stycznia 2026 roku młodszy kurs przewodnicki pw. św. Jana Nepomucena zameldował się na starcie zimowego przejścia kondycyjnego. Do nierównej walki z zimowym żywiołem stanęła siódemka wspaniałych kursantów, dwóch Harnasi i jeden turysta towarzyszący. Drużynę w kierunku zmrożonego przeznaczenia poprowadził niezawodny Sebastian Lenartowicz.

Ku śnieżnej przygodzie wyruszamy z dworca kolejowego w Gliwicach o godz. 20.04. Pociąg do Krakowa na powitanie serwuje nam 20 minut opóźnienia, ale nie przejmujemy się – mamy godzinę na przesiadkę w Krakowie. W punkcie startu meldują się 1 kursantka, 1 kursant i prowadzący wyjazd. Na stacji w Katowicach wsiadają 3 kolejne osoby, jeden kolega dołączający w Mysłowicach. Witamy się i podekscytowani zastanawiamy, co nas czeka. Na początek czeka nas długi, nieplanowany postój w Trzebinii. Tak długi, że do Krakowa docieramy z opóźnieniem, które nie pozwala nam na przesiadkę. W międzyczasie obdzwaniamy pozostałych kursantów i Harnasi, którzy mają się z nami spotkać w pociągu do Suchoj Beskidzkiej. Mimo prośby Sebastiana o skomunikowanie pociąg odjeżdża z dworca w Krakowie bez nas, a my lądujemy późnym wieczorem w grodzie Kraka. Kursantka rzuca, że skoro następny pociąg za kilka godzin, to może zdobędziemy Kopiec Kraka. Sebastian stwierdza, że skoro los zgotował nam niespodziankę, to start przejścia nastąpi o godz. 23.00 w Krakowie i powierza nam organizację metodycznego zwiedzania Krakowa. Prowadzimy pod Barbakan, na Rynek, dalej na Wawel i w końcu na Kopiec Kraka. Zostaje nam jeszcze trochę czasu, dlatego ruszamy na Kazimierz, gdzie pracuje nasz kursowy kolega. W wybornej knajpce zasiadamy na pół godzinki, a przy okazji Kuba oprowadza nas po piwniczce, gdzie oglądamy proces powstawania wina od podszełki. Wina nie kosztujemy, ale częstują nas ogórkową wódką, której całą butelkę dostajemy też na metę naszego przejścia z życzeniami powodzenia. Niespodziewane, bardzo miłe spotkanie bierzemy za dobrą monetę i ruszamy na dworzec kolejowy w Krakowie, by wsiąść do pociągu do Suchoj Beskidzkiej. W nogach mamy już 12 kilometrów prawdopodobnie najdziwniej rozpoczętego zimowego przejścia kondycyjnego w historii SKPG Harnasie.

W nocnym pociągu z Wybrzeża do Zakopanego stoimy w korytarzu. Ludzie przeciskają się to w jedną, to w drugą stronę. Obie toalety oczywiście są nieczynne, o czym dają znać charakterystycznym zapachem. Szczęśliwie, przed stacją w Kalwarii Zebrzydowskiej Lanckoronie, pada komenda „wysiadamy!”. O 4 nad ranem duża grupa turystów wyskakuje z pociągu na Pogórze Wielickim i rusza na szlak, a właściwie bezszlak, bo szlaku w ciągu tych 24 godzin będzie tyle, co kot napłakał. Sebastian na starcie robi nam niespodziankę. Okazuje się, że początek trasy stworzył specjalnie dla nas i naszego patrona – Świętego Jana Nepomucena. Ruszamy w poszukiwaniu kapliczek z naszym „Jankiem”. Dzięki temu Nepomucen przez całe przejście ma nas wszystkich w swojej opiece! W ciemności przemierzamy Kalwarię Zebrzydowską, trochę idziemy po śniegu, trochę po drózkach kalwaryjskich. Po zmianie prowadzenia Sebastian mówi, że następna osoba doprowadzi nas do granitu z Bugaja. Świeżo po nauce geologii na egzamin cieszymy się, że zobaczymy ten słynny porwak. Seba zdradza, że przed wyjazdem skonsultował się z Blejdem i na pewno trafimy we właściwe miejsce. Rzeczywiście udaje się nam i po zrobieniu kilku triumfalnych zdjęć urządzamy sobie piknik na śniegu. Świta, więc wyciągamy kanapki i herbatę. Morale jest bardzo wysokie.

Kierujemy się ku kolejnej kapliczce – tym razem namierzamy św. Onufrego, a potem schodzimy

cd. str. 2

RAJD MIKOŁANKOWY

6–7.12.2025

TRASA DŁUŻSZA

Radośnie dotarliśmy opóźnionym busem na przystanek Koszarawa Jałowiec. Tam nastąpił podział uczestników rajdu na dwie grupy. Mniejszą (podobno bardziej ekskluzywną, prowadzoną przez Sebastiana) i... przepotęzną, która była nie tylko liczna, ale także wytrzymała i zaprawiona w górskich bojach, a niektórzy z jej uczestników mieli nadprzyrodzone moce (a przynajmniej tak twierdzili)!

I tak 16 śmiałków wraz z półprzewodnikiem Marcinem Kawalerem – odbywającym swoją przewodnicką praktykę – oraz przewodniczką Aleksandrą Chwalisz (która dokładnie rok wcześniej w tym samym miejscu odbywała swoją praktykę) powędrowali z Koszarawy Jałowca na Jałowiec, by przez Czerniawę Suchą i Lachów Groń dotrzeć do chaty na Lasku. Powiedzieć, że ta 14-kilometrowa trasa była przepiękna, to jakby nic nie powiedzieć! Panorama ze szczytu Jałowca nas oczarowała, schron ugościł, a św. Mikołaj pozostawił dla nas słodkości. W drodze na Lachów nasz kolega z młodszego kursu Paweł, koniecznie chciał dołączyć do grona Avengersów. Jego supermocą miało być chodzenie po wodzie i nawet dobrze mu szło, do czasu aż woda zmieniła stan skupienia ze stałego w ciekły. Czy Paweł wylądował niemal po kolana w wodzie? Być może. Czy ktoś był tym zaskoczony? Nie sądzę.

Na Lachów Groniu pierwszą napotkaną istotą był Pan Bałwan, który swoją posturą absolutnie nie przypominał bałwana, jednocześnie nie można było go pomylić z żadnym innym bałwanem, a że wcześniej otrzymaliśmy tajemniczą wiadomość ze zdjęciem jegomościa, to stał się on niepodważalnym dowodem na to, że NASI tu byli!

Z Hali Janoszkowej podziwialiśmy panoramę. Beskidy skapane były w ciepłych, pomarańczowych promieniach zachodzącego słońca. Gdy tylko słońce zaczęło chować się za horyzontem, od razu poczuliśmy, że na dworze panuje zimowa aura. Dziarskim krokiem ruszyliśmy w kierunku Lasku. Kiszki grały nam

marsza, a przed nami były jeszcze niemal dwie godziny drogi. Zrobiliśmy sobie krótki przystanek przy sklepie w Koszarawie, skąd być może nie do końca oczywistą drogą, troszkę zakrzaczoną, dotarliśmy do celu – głodni, zmęczeni, ale z uśmiechami na twarzach!

Ola Chwalisz

TRASA KRÓTSZA

Trasa krótsza różniła się od dłuższej tym, że ominęła Jałowiec. Z Koszarawy ruszyliśmy prosto na Lachów Groń. Ponadto była to trasa ekskluzywna, licząca zaledwie pięć osób, w tym przewodnika i praktykanta.

Na Lachowie wspólnymi siłami powstał bałwan w wielu postaciach i o wielu głowach. Każdy widział go w inny sposób, zgodnie z własną wyobraźnią.

Po ulepieniu bałwana przyszedł czas na obowiązki, czyli zrobienie panoramki. Przebieg trasy był niestandardowy, gdyż ani razu się nie zgubiliśmy i sprawnie dotarliśmy, już po ciemku, do chaty na Lasku.

W chacie uczestnicy rajdu zostali nakarmieni, a następnie wzięli udział w świątecznych konkursach. Wtem, niespodziewanie odwiedził nas Mikołaj Piotr, wraz z pomocnikami: Maciejem i Magdą. Wszyscy zasłużyli na prezenty.

Sebastian Lenartowicz



do Stronia. Następna osoba dostaje instrukcje, by znaleźć skałki pod Strońską Górą i zaprowadzić grupę na jej wierzchołek. Udaje się to bez pudła. Po drodze odwiedzamy jeszcze sklep spożywczy, w którym o tej porze i w takiej liczbie stanowimy nie lada sensację. Na Strońskiej Górze cieszymy oczy pysznymi widokami na morze mgieł, Lanckorońską Górę, Żar i Chelm. Sebastian poleca zaprowadzić grupę do stacji kolejowej w Stroniu, a tam – niespodzianka!



Znowu wsiadamy do pociągu. Seba sam kupuje bilety dla całej grupy, więc nie wiemy, ile mamy czasu do stacji docelowej. Niektórzy próbują się zdrzemnąć, inni są tak nakręceni, że nie ma na to szans. Podróż okazuje się bardzo krótka, wysiadamy bowiem tuż za Suchą – w Makowie Podhalańskim. Tam czeka nas kolejna niespodzianka – przychodzimy na otwarcie pizzerii i Sebastian pozwala nam zjeść obiad. W tym ciepłym miejscu spędzamy trochę czasu, aż wszyscy się najedzą. Oczy niektórym zaczynają się zamykać, dlatego sami kursanci zarządzają – „ruszamy”! Nie poddajemy się tej senności, przed wyjściem w góry idziemy jeszcze do sklepu spożywczego po wodę i ruszamy na kolejną część przygody.

Kierujemy się do Białki, gdzie pod Wierchami Wicherkowymi zwiedzamy cmentarz choleryczny. Dalej bez szlaku, przez kolczaste zarośla przedzieramy się w stronę Kudydówki. Słońce zachodzi, a podejście na Malikowski Groń wydaje się nigdy nie kończyć. W ruch idą plastry – kursantka lokalizuje spory pęcherz na pięcie. Nieściąganie butów od kilkunastu godzin trochę daje się we znaki, ale po przetrząśnięciu kilku apteczek udaje się zrobić niezawodny opatrunek i wszyscy dodając sobie otuchy, zdobywają szczyt. Na szczycie, na który nie wiedzie żaden szlak turystyczny, czeka nas niespodzianka – ołtarz, stoły, krzyż. Robimy sobie przerwę na słodycze i napicie się, zmieniamy prowadzenie i ruszamy na przełęcz. Przechodzimy przez końcówkę Zawoi i ruszamy do Pustelni Niepokalanów. Opis tego miejsca zostawiamy dla siebie, zainteresowanych odsyłamy do Internetu – my się uśmialiśmy.

Mróż jest coraz większy, i w lesie, i na asfalcie towarzyszy nam cała masa lodu. Kolejne osoby zaliczają niegroźne wywrotki. Przecinając Grzechynię, kierujemy się pod Skupniówkę, wydaje nam się, że nic nie może nas zatrzymać, ale okazuje się, że nasz turysta towarzyszący (a przy okazji, jak się dowiadujemy, także przyszedł kursant) nie może kontynuować przejścia z uwagi na kontuzję kolana. Próbuje temu zaradzić, przed nami bowiem kilka godzin marszu. Stojąc na asfalcie w Grzechyni, przyciągamy uwagę przejeżdżającego samochodu na krakowskich blachach. Okazuje się, że podróżująca tamtędy rodziną jest gotowa zwieźć naszego kolegę na dół, do Suchej Beskidzkiej. Jesteśmy im ogromnie wdzięczni, a sami pakujemy się w zaśnieżony las i ruszamy w stronę góry Koty. Schodzimy doliną Grzechyni, a później znowu w górę. Tam łapiemy niebieski szlak, którym docieramy do czerwonego – najstarszego beskidzkiego szlaku z Suchej Beskidzkiej do Zawoi. Tam Sebastian oświadcza, że wybiera ostatnią osobę na prowadzenie – czekamy na to, gdzie skieruje nas kursantka – wiemy, że pora jest późna, zatem meta może być albo w Zawoi, albo w Suchej. Po chwili przerwy na uzupełnienie płynów, ruszamy na północ – a więc Sucha Beskidzka. Szlak jest bardzo oblodzony, ślizgamy się na każdym kroku. W pewnym momencie Sebastian siada na tyłku i zjeżdża po lodzie. Ostatnie kilometry są wymagające, ale dodajemy sobie nawzajem otuchy. Wszyscy kursanci są na pokładzie i docieramy do SSM w Suchej Beskidzkiej. Tam czeka już na nas trójka naszych kierowników – Adam Rachfalski, Henryk Boldys i Jacek Przyłucki. Jest tam też nasz turysta towarzyszący, który po dojechaniu z Grzechyni do Suchej skierował się na metę, do schroniska. Wszyscy gratulujemy sobie tego przejścia. Po sprawdzeniu dystansu w nawigacji okazuje się, że w 24 godziny i 10 minut przeszliśmy 50 kilometrów, z czego 12 w Krakowie. Jesteśmy pod wrażeniem!

Kolacja zasługuje na najwyższe uznanie – nasi kierownicy serwują nam rozgrzewającą grochówkę, a na drugie danie kotlety mielone, a dla wegetarian kotlety z soczewicy, ziemniaki i buraczki. Wszystko jest przepyszne, panowie nalewają nam gorącej herbaty, a na stół wjeżdża deser okrzyknięty Deserem Adama – rozplwający się w ustach sernik z galaretką. Siedzimy razem jeszcze chwilę, otwieramy ogórkową wódkę, którą nieśliśmy z Krakowa i symbolicznie świętujemy to zwycięstwo. Potem lecimy pod prysznic i do ciepłych łóżek, by spotkać się na śniadaniu następnego dnia. Kierownicy częstują nas pysznymi kanapkami i herbatą, patrzymy na siebie z wielką radością i dumą. Wszyscy kursanci dali radę, zimowe przejście kondycyjne mimo trudów udało nam się ukończyć w doskonałych humorach. Po zrobieniu sobie zdjęcia pod schroniskiem idziemy na pociąg. Kierownicy odpalają wyładowane garnkami samochody i ruszamy do domów.

Warunki w czasie przejścia były zróżnicowane – w ciągu dnia odwilż, w nocy lekki mróz. Śnieg był twardy, zmrożony, ciężko było się po nim poruszać, ale nie on był najgorszy. Najwięcej trudności sprawiała nam cała masa lodu, więc przez cały czas uważaliśmy na tę zdradzieczą powierzchnię pod butami. Niemniej uważamy, że pogoda trafiła nam się dobra, mieliśmy sporo słońca, a dzięki dobremu ekwipunkowi nawet nie zmarzliśmy specjalnie. Buty oczywiście przemoczyliśmy, ale przy dodatnich temperaturach w ciągu dnia śnieg roztopiał się bezlitośnie.

Czy warto było wybrać się na ten wyjazd? Zdecydowanie tak! Grupa była bardzo mocna, część z nas miała już za sobą dłuższe, szybsze i bardziej wymagające przejścia, ale nawet nasza kursantka, która pierwszy raz wybrała się na taką długą wędrówkę zimą, dała radę. I tutaj najważniejsze

spostrzeżenie dotyczące zimowego przejścia kondycyjnego – za powodzenie całej misji odpowiadała grupa, bo wędrowaliśmy razem, razem pokonywaliśmy kilometry i trudności, walczyliśmy z sennością i motywowaliśmy się po drodze. Ten przewodnicki egzamin z prowadzenia grupy i opiekowania się sobą nawzajem zdaliśmy na 5 i to z ogromnym plusem (skromność przede wszystkim). Takich kursantów ze świecą szukać! Wszystkim należą się ogromne gratulacje, a dodatkowo ukłony po pas dla Sebastiana za zorganizowanie tego wyjazdu. Przez całą dobę był naszym dobrym duchem, a swoim szerokim uśmiechem rozświeślał mroki tej długiej nocy. Seba jest prawdziwym skarbem tego Koła i kierujemy do niego serdeczne zaproszenie na nasze kolejne wyjazdy – prawdziwy z niego Nepomuk.

Wielkie podziękowania także dla Adama, Heńka i Jacka, których widok na mecie był chyba najlepszą nagrodą, jaką można sobie wyobrazić. Cała trójka czekała na nas z gorącą kolacją i wiemy, że byli dumni, że wszystkim nam udało się zmordować to przejście. Przez cały ten czas byliśmy też w wirtualnym kontakcie z pozostałymi kursantami, którzy z różnych powodów nie pojechali na zimowe przejście kondycyjne. Cały czas trzymali za nas kciuki i motywowali do dalszej drogi. W godzinie kryzysu odsłuchaliśmy głosówkę od naszej kursowej koleżanki – „pamiętajcie, ból przemija, ale chwała pozostanie”. Zatem chwała wam wszystkim za zimowe przejście kondycyjne 2026 i do zobaczenia na szlaku!

Magdalena Mickielewicz
 fot. Sebastian Lenartowicz

TO BYŁO

- ✓ 19.01 opowieść Sebastiana Lenartowicza o jego wakacyjnej podróży pt. „Rowerem z Amsterdamu do Sewilli”. Było 14 osób.
- ✓ 29.01 zebranie na lodowisku Tafla w Gliwicach zgromadziło 7 osób.
- ✓ 5.02 Śpiewanki u Paskudy. Tym razem były piosenki o ptakach.
- ✓ 19.02 zebranie ze zwiedzaniem schronu bojowego w Chorzowie. Było 7 osób.
- ✓ 21–22.02 Rajd Zimowy z metą w chatce na Skalance.

TO BĘDZIE

- * 28.02–1.03.2026 **Blachowanie** kursu 2024/26 w Ośrodku Wypoczynkowo-Szkoleniowym „Pod Kamiennikiem” w Porębie k. Myślenic.
- * 4.03 spotkanie inauguracyjne nowego kursu przewodnickiego SKPG Harnasie. Kurs poprowadzą: Martyna Pietraszek, Krzysztof „Profesor” Kulik i Daniel Stanowski.
- * 6–8.03 w SSM w Cieszyńcu odbędzie się festiwal podróżniczy „Fasolka” organizowany przez SKPB Katowice, na który otrzymaliśmy zaproszenie.
- * 21–22.03 „Rajd na powitanie wiosny” w Beskidzie Małym z zakończeniem w chatce pod Potrójną.
- * 9.04. (czwartek) **Walne Zebranie**
- * 10–12.04 Kwadratlonu organizowany przez SKPB Lublin w chałupie w Zawadce Rymanowskiej.

LATO 2025 – NIE TYLKO AUSTRIA CZ. 1

Wraz z naszymi znajomymi: Grażyną i Krzyśkiem wybraliśmy się do Karyntii. Wyjechaliśmy w piątek pod koniec czerwca. Z Feistritz an der Drau podjechaliśmy sto metrów w górę, na koniec wąską drogą do gospodarstwa wiejskiego, w którym znajduje się pensjonat Schlaferhof.

Następnego dnia ruszyliśmy w Alpy Gurktalskie (Nockberge). Po kilkudziesięciu minutach dotarliśmy do schroniska Erlacherhaus (1665). Ostatnie sześć kilometrów przejechaliśmy płatną drogą szutrową. Zostawiliśmy samochód na parkingu przed schroniskiem i ruszyliśmy w góry. Szybko otworzyły się wspaniałe panoramy na: Rosennock (2440), Predigerstuhl i Pfannock. Alpy Gurktalskie przypominają Tatry Zachodnie. Najpierw weszliśmy na Mallnock (2226), a potem poszedłem na Klomnock (2331). Wspaniały widok z obydwu szczytów stanowił nagrodę za nasz wysiłek. Oprócz Alp Gurktalskich, na północnym zachodzie wyróżniał się lodowiec Hochalmispitze (3360), na południu rysowały się ostre kontury Alp Julijskich.

Kolejnego dnia pojechaliśmy drogą asfaltową na przełęcz Turracher Höhe (1795). Wyjechaliśmy wyciągiem krzesełkowym na Kornock (2193), a stamtąd poszliśmy na doskonale widoczny Rinsennock (2334). Śpieszyliśmy się, pogoda była niepewna, zapowiadano burzę. Już na szczycie zauważyliśmy, że pogoda się poprawia. Mogliśmy w spokoju obserwować widoki na Eisenhut (2441), najwyższy w Alpach Gurktalskich. Pięknie prezentował się Königstuhl (2336). Tego dnia i w ogóle przez cały tydzień nie zmoczył nas żaden opad. Owszem deszcz padał, ale nie na nas.

We wtorek znowu straszono gwałtownymi zjawiskami atmosferycznymi. Zdecydowaliśmy się na wyjazd płatną drogą asfaltową w stronę góry Goldeck w Alpach Gaitalskich. Dojeżdża się na parking położony na wysokości 1880 m. Od razu zauważyliśmy wspaniałe widoki na Alpy Julijskie. Ruszyliśmy w stronę wspomnianej góry Goldeck (2142). Z każdym krokiem poszerzały się widoki, zwłaszcza na pobliskie szczyty: Staff (2217) i Eckwand (2221). Pasące się krowy i konie dodawały kolorytu krajobrazom. Na grzbiecie, w miejscu zwanym Törl, doszliśmy do rozwidlenia szlaków i wtedy z inspiracji Krzyśka zmieniliśmy plany i ruszyliśmy w stronę skalistego Staffa. Odległa o trzy godziny drogi góra prezentowała się znakomicie, dlatego w pełni rozumiałem entuzjazm kolegi, kilka lat temu byłem na tej ciekawej górze. Nie mając wyjścia, żony ruszyły za nami. Teraz oddalaliśmy się od góry Goldeck i schodziliśmy w dół w stronę Staffa. Jednak pogoda szybko zweryfikowała nasze plany i ostudziła gorące głowy. Na zachodzie gęstniały chmury. Po kilkunastu minutach usłyszeliśmy grzmot, kilka kilometrów od nas szalała burza. W tej sytuacji zrobiliśmy fotki ze Staffem i Eckwandem i ruszyliśmy do schroniska Gusenalm. Mimo wszystko nie posądzaaliśmy naszych żon o spowodowanie burzy. Zjedliśmy przed schroniskiem obiad, cały czas podziwiając nasz niedawny cel – górę Staff. Potem wśród odgłosów nieodległej burzy suchą stopą, a właściwie głową, dotarliśmy na parking pod Goldeckiem.

Na środę zapowiadano znakomitą pogodę. Postanowiliśmy zdobyć Mittagskogel (2145), górę położoną niedaleko Villach w Karawankach. Samochód Krzyśka spisał się znakomicie. Wyjechaliśmy na leśny parking odległy zaledwie o godzinę drogi od Bertahütte (1520). Gdy stanęliśmy przed schroniskiem, mogliśmy z bliska przyrzeć się tej wspaniałej, wapiennej górze. Mittagskogel (Kepa) leży na granicy ze Słowenią. Moja żona zdecydowała się tu pozostać, w trójkę ruszyliśmy na szczyt, na który dotarliśmy po trzech godzinach. Wspaniałe widoki na Karawanki z Hochstuhlem (2237) i bardziej odległym Hochobirem (2139), a przede wszystkim panoramy Alp Julijskich z Triglavem zachęciły nas do długiego pobytu na szczycie. W dole widniały jeziora Karyntii: Wörthersee, Faaker See, snuła się srebrna wstęga Drawy.

Nie byłem do końca przekonany do wyprawy na Dobratsch (2166). Wiązało się to z kolejnym wjazdem asfaltową drogą na parking położony na wysokości ponad 1700 metrów. Położony bezpośrednio nad Villach szczyt, doskonale widoczny z autostrady prowadzącej do Włoch, okazał się bardzo ciekawym celem. Do tego znowu nam dopisała pogoda. Z parkingu poszliśmy najpierw drogą szutrową, a później przez hale i kosiwkę w stronę szczytu. Cały czas wspaniałe prezentowały się Alpy Julijskie – od Triglava i Škrlaticy po Mangart i dalej po Jôf di Montasio. Po dwóch godzinach dotarliśmy na rozległą powierzchnię szczytową góry Dobratsch. Niewiele poniżej znajduje się schronisko. Na metalowej platformie zjedliśmy obiad. Następnie doszliśmy do położonego 35 metrów wyżej krzyża szczytowego. Zaraz pod nim, nad przepaścią, stoi murowana kaplica zwana



Bertahütte i Mittagskogel.



Dobratsch.

Windische Kapelle (Kaplica Słoweńska). Została zbudowana w 1690 r. W odległości 250 metrów od szczytu stoi druga kaplica – Deutsche Kapelle.

Wracaliśmy drogą szutrową prosto na parking. Podziwialiśmy Alpy Julijskie, przez które przewalały się coraz gęstsze i czarniejsze chmury. Potem zobaczyliśmy, jak błyskawice raz po raz przesywały szare niebo nad tymi górami. Nad Triglavem szalała burza z gwałtowną ulewą. Idąc nadal w pełnym słońcu, ale wśród odgłosów nieodległej burzy, ostro przyspieszyliśmy i znowu na sucho dotarliśmy do parkingu.

Ostatniego dnia pojechaliśmy nad najczystsze jezioro Karyntii – Weissensee. Zatrzymaliśmy się w pobliżu kempingu w Stockenboi, by zobaczyć kilkudziesięciometrowy wodospad. Wykopaliliśmy się w jeziorze, a potem poszliśmy wzdłuż jego północnego brzegu. Gdy po czterech godzinach wróciliśmy na parking, niebo znowu przybrało ciemne barwy, lecz nie padało.

Po tygodniu pobytu w Karyntii Grażyna i Krzyśkie wracali do Poznania. Prognozy pogody na następne dwa tygodnie były fatalne. Postanowiliśmy opuścić Austrię i udaliśmy na południe. Zaraz po wjeździe do Chorwacji zatrzymaliśmy się w małej osadzie o nazwie Ribnik. Stanęliśmy koło niewielkiego zamku obronnego.

Dotarliśmy do miejscowości Drage, leżącej na południe od Zadaru. Jest ona otoczona z jednej strony morzem, z drugiej największym jeziorem Chorwacji – Vransko. Żalowałem, że w pobliżu nie ma porządných gór. Znalazłem trzy wzniesienia, wystające ponad sto metrów nad morze i jezioro. Przez kolejne trzy dni wchodziłem na te „góry”: najpierw na Kurelę Małą (111), potem na Kurelę Veliką (112) i wreszcie na Veliką Čelinę (111). Tylko na tej ostatniej górze spotkałem turystów. Na pozostałe trzeba było przedzierać się przez krzaki i kamienie. Na każdej znajdował się niewielki krzyż szczytowy. Warto było na nie się wdrapać, widok na morze i Wyspy Kornati był bardzo malowniczy. Z drugiej strony widać było Jezioro Vransko, a w oddali wystawały szczyty Gór Dynarskich: Troglav (1913) i Dinara (1813).

Z Chorwacji pojechaliśmy do Bośni. Zatrzymaliśmy się w pensjonacie, niedaleko miejscowości Čapljina. Dojazd cały czas autostradą był bezproblemowy. Na postoju dostrzegłem ciekawe góry Mosor (Veliki Kabal 1339), leżące pomiędzy Splitem i Omišem. Podziwiałem także góry Biokovo. Wejście od wschodu, to jest od strony łądu, na Sveti Jure (1753) byłoby bardziej honorowe niż popularny wjazd motocyklem czy samochodem od strony morza. Wędrowkę można by skutecznie w oparciu o Camp Biokovo, znajdujący się w pobliżu wsi Zagvozđ. Ostatecznie żona stwierdziła, że jest za gorąco. Dalej na południu podobała mi się góra Veliki Šibenik (1314), widoczna także z Bośni.

Nasz pensjonat, położony blisko granicy z Chorwacją, okazał się parterowym domem z kilkoma sypialniami i ogrodem, po którym chodziły dwa zółwie. Najpierw dotarliśmy do oddalonych o kilkanaście kilometrów wodospadów Kravica. Oblegane przez turystów

wodospady przypominają te znajdujące się w Chorwacji na rzece Krka. Ludzie stołowali się w restauracji, kąpali w rzece Trebizat, na której uformowały się urokliwe wodospady. Później pojechaliśmy nieco na północ w stronę wodospadu Koćuša, powstałego także na rzece Trebizat. Wstęp bez opłat, w pobliżu znajdują się dwie restauracje. Szeroki na kilkadziesiąt metrów wodospad miał prawie dziesięć metrów wysokości. Zjedliśmy na powietrzu čevapi – typowe bośniackie danie. Zamieniłem kilka zdań po śląsku z pielgrzymami z Raciborza-Studziennej, którzy także stołowali się w tym miejscu.

Potem pojechaliśmy do Medjugorje. Ośrodek pielgrzymkowy prowadzony jest przez franciszkanów, być może dlatego wnętrze kościoła przypominało mi układ kościoła franciszkanów w... Rybniku. Jak każda miejscowość pielgrzymkowa, Medjugorje jest skomercjalizowane, pełno w nim sklepów z dewocjonaliami i nie tylko. Zauważyliśmy autentyczną pobożność przybyłych z różnych krajów pielgrzymów, było tam także wielu Polaków.

Podobnie godną podziwu pobożność zaobserwowaliśmy w muzułmańskim klasztorze derwiszów w Błagaju. Przyjeżdżają tam wycieczki wyznawców Proroka, najczęściej z Turcji i Półwyspu Arabskiego. Elegancko ubrane kobiety, zasłaniające wiele części ciała, orientalny kształt budowli, restauracyjki ułożone nad samą wodą, wszystko to dodawało kolorytu wywierzyisku rzeki Buna, która z ogromną mocą wypływa z jaskini w pobliżu klasztoru i od razu osiąga znaczną szerokość. Obeszliśmy także meczet Careva Džamija (Meczet Cesarski). Nad miejscowością góruje zamek – Stjepan Grad. Nazwa wywodzi się od jego pierwszego właściciela z połowy XV w.

Następnie dobrą, jednopasmową szosą udaliśmy się do Mostaru. Stanęliśmy na prywatnym parkingu, blisko słynnego mostu. Było sobotnie popołudnie, po rzece Neretva szalały wyposażone w silniki pontony, przejeżdżając z turystami pod Starym Mostem. Panował gwar, niektórzy moczyli nogi w czystej rzece, inni siedzieli przed restauracjami. Najpierw udaliśmy się do części chorwackiej. Katedra była zamknięta, za to wyjechaliśmy windą na stojącą oddzielnie wysoką wieżę. Z góry podziwialiśmy panoramę Mostaru, nad którym od południowego wschodu góruje niemal dwutysięczne pasmo Velež (Botin 1969). Miasto leży na styku kilku kultur: obok meczetów, na stromym wzgórzu stoi wysoki krzyż. Za słynnym Mostem zaczyna się stare miasto o orientalnej zabudowie z meczetami. Nieco dalej stoi ogromna, prawosławna cerkiew Świętej Trójcy. Przeszliśmy wraz z wieloma ludźmi przez Most i przez dwie godziny wczuwaliśmy się w atmosferę starego miasta. Za opłatą wszedłem do wnętrza meczetu Koski Mehmed Pašina Džamija. Stamtąd znowu pięknie prezentowała się Neretva i Stary Most.

Zatrzymaliśmy się jeszcze w ulubionej miejscowości noblisty Ivo Andrića – Počitelju. Położona na stromym zboczu osada istniała już w czasach rzymskich. Rozwinęła się w pełni w XIV wieku, gdy bośniacki król Tvrtko II Kotromanić zbudował tam twierdzę. Sto lat później Počitelj przejęli Turcy i nadali mu orientalny charakter. Wzniesiono meczet, medresę, łaźnie i sahat kulę (wieżę zegarową). Obeszliśmy całe miasteczko, niemal żywcem przeniesione z dawnych czasów. Widoki z zachodzącym słońcem w tle na całą miejscowość, płynącą w dole Neretwę, a także dalsza panorama aż po góry Velež nad Mostarem były znakomitą podsumowaniem niesamowicie ciekawego dnia.

POŚWIĄTECZNE WYCIECZKI MAMUTÓW

W ramach tradycyjnych już mamucich wyjazdów okołoświątecznych odbyły się ostatnio cztery wycieczki: Poświęteczne Spalanie Kalorii, Posylwestrowe Spalanie Procentów, Orszak Trzech Króli oraz Uzupełnianie Spalonych Kalorii. Celem pierwszej wycieczki był Stożek. Nie obyło się bez komplikacji z powodu awarii auta Rafiego i Iwony na A1. Na szczęście Iza Smok zaspiała i zgarnęła z autostrady Rafiego, a laweta zgarnęła Iwonę. W rezultacie na Stożku spotkała się cała ekipa licząca 8 osób plus pies: Jacek i Jola, Sławek, Rafi, Iza Smok z kolegą, Mareczek, Gosia Mysza i pies Kajko.

Kolejny wyjazd odbył się po Nowym Roku, a jego celem było nowe schronisko pod Ozną. Wyjazd był kameralny 4-osobowy. Prócz Redakcji i Joli udział wzięli Gosia „Mysza” z Markiem oraz pies Kajko. Osiągnięciem wycieczki była direttissima północnej ściany Sobańskiego Gronia. Zaskoczyły nas natomiast tłumy ludzi w tym bezszlakowym rejonie oraz w schronisku.

Na tegorocznym Orszaku Trzech Króli zjawili się dokładnie trzech króli w osobach Redakcji, Sławka i Nowego oraz jedna królowa w osobie Joli. Orszak przemierzył szlaki znad Jez. Międzybrodzkiego przez Nowy Świat na Hrobaczą Łąkę.

Pierwsze noworoczne, zagraniczne Uzupełnianie Spalonych Kalorii odbyło się natomiast pod hasłem „Wyprawa na haluszkę”. Tym razem do grupy Mamutów w osobach Ginterów, Kowalików oraz Sąsiedzkich dołączyła sekcja kołowej młodzieży starszej, czyli Ola, Marta, Asia i Olek. Na trasie w Beskidzie Śląsko-Morawskim zaliczyliśmy dwa schroniska – pod Oстрыm i na Kamenitym. Były haluszkę, strapaczki, syry oraz kawa, piwo i kofola. A na trasie były widoki na Tatry oraz sporo lodu, w związku z czym nie zawahaliśmy się użyć raczków.



Wyprawa na haluszkę. Od lewej u góry: Jasiu, Olek, Danka, Lila, Jola, Asia, Piotr, u dołu: Jacek, Ola, Marta.

Przechodząc wśród wąskich uliczek Počitelja, zauważyliśmy, że nadal mieszkają tam ludzie.

Nazajutrz udaliśmy się do franciszkańskiego kościoła w Čaplinje, a potem pojechaliśmy do Radimlja koło Stolaca. Za niewielką opłatą zwiedzaliśmy średniowieczną nekropolię, funkcjonującą od przełomu XII/XIII w. Najwięcej spośród 133 zachowanych do dziś nagrobków pochodzi z XV i XVI w. Te nagrobki – stećaki powstały jeszcze w czasach zanim Bośnia znalazła się w pełni pod rządami Turków. Występują na nich płaskorzeźby przedstawiające jeźdźców na koniach, miecze, pojawiają się motywy zwierzęce, roślinne. Niektóre nagrobki są chrześcijańskie, inne należą do oryginalnej grupy religijnej bogomilów, funkcjonującej wówczas na Bałkanach, pozostającej pod wpływem perskiego manicheizmu, religii dualistycznej, zakładającej istnienie dwóch bogów: dobrego i złego. Radimlje jest niesłusznie pomijane przez turystów.

W Bośni przy drogach można kupić tanie melony, arbuzy itd. W poniedziałek pojechaliśmy na północ zwykłą drogą przez Ljubuski, Grude i dotarliśmy do miejscowości Imotsky, leżącej już w Chorwacji.

Podjechaliśmy do góry i zatrzymaliśmy się na parkingu nieco na zachód od tej miejscowości. W pobliżu znajdują się dwa leżące w głębokich dolach jeziora: Modro i Crveno. Zaraz obok parkingu znajduje się Modro Jezero, łatwiej dostępne i chyba bardziej malownicze. Po przejściu dwóch kilometrów doszedłem do Crveno jezera i idąc dalej przez sosnowy las, okrążyłem je. Tylko w niektórych miejscach, zabezpieczonych ogrodzeniem, widoczna była głęboka na co najmniej sto metrów, okrągła, wapienna czeluść, na której dnie leży jezioro. Nie ma możliwości, by tam zejść normalną drogą.

Pod wieczór dojechaliśmy do Ogulina, leżącego na północy Chorwacji. Na trzy noce zatrzymaliśmy się w pensjonacie na skraju miasteczka. Nad Ogulinem góruje skalisty szczyt Klek (1181). Już podczas poprzednich pobytów w Chorwacji zwróciłem uwagę na tę widoczną z autostrady oryginalną skalę. Następnego dnia przejechaliśmy 10 km do leżącej trzysta metrów wyżej maleńkiej osady o swojskiej nazwie Bjelsko (660). Była piękna pogoda. Ruszyliśmy pieszo i po dwóch godzinach dotarliśmy do nieczynnego w tygodniu schroniska pod Klekiem (998). Znacznie wystająca ponad otoczenie skałka kojarzy się Chorwatom z górą czarownic. Dlatego przed schroniskiem ustawiono miotły i dodano napis: „zaparkuj swoją miotłę”. Jednak moje próby przemieszczenia się na Klek za pomocą największej miotły nie powiodły się...

Dotarcie na szczyt zajęło nam kolejną godzinę. Na końcu w dwóch miejscach zainstalowano grube liny, które umożliwiają wejście na skalę bez obawy o upadek i poślizgnięcie się. Ze szczytu roztacza się oryginalny widok. Klek należy do pasma Velika Kapela, które jest częścią Gór Dynarskich.

Wracaliśmy do domu tak, jak przyjechaliśmy przez Austrię i Słowację. Odkryliśmy zalety nowej obwodnicy Bratysławy, przez którą przejeżdża się łatwo i przyjemnie.

cdn.

Redakcja

Piotr „Alojz” Piwczyk